

Tusk wygrywa, związkowcy przegrywają, społeczeństwo płaci

5 kwietnia 2012

NSZZ „Solidarność” przy współpracy innych związków zawodowych zebrała ponad 1,5 miliona podpisów poparcia dla referendum w sprawie podwyższenia wieku emerytalnego. Ogromna liczba obywateli sprzeciwiająca się rządowym planom pozwalała przypuszczać, że stoimy na progu wybuchu społecznego. Nie bardziej błędnego. Premier Donald Tusk obraził przewodniczącego NSZZ „Solidarność” Piotra Dudę, a przy okazji tych którzy, podpisali wniosek mówiąc: „Myślę, że nie po to pana wybierano na szefa Solidarności, aby się pan podejmował zadań, które właściwie jest w stanie wykonać każdy pętaś, bo to jest najprostsze, co może być”. Następnie parlament pod osłoną policji odesłał podpisy społeczeństwa na makulaturę. Czy w tym momencie w kraju zawrzało? Może miały miejsce jakieś lokalne starcia, akcje w zakładach pracy? Niestety nic takiego się nie dzieje. Społeczny marazm jak trwał, tak trwa, a związki zawodowe raczej nie mają pojęcia jak go przezwyciężyć.

W dniu głosowania nad wnioskiem o referendum dwie główne centrale związkowe zorganizowały w Warszawie demonstrację. Szumnie zapowiadano udział kilkudziesięciu tysięcy osób, co jak na centrale liczące oficjalnie po kilkaset tysięcy członków i tak było liczbą skromną. Z całego kraju zjechało się kilkanaście tysięcy protestujących. Ci, którzy przybyli przed budynki parlamentu, postali, pokrzyczeli, posłuchali obiecujących im złote góry polityków opozycji, a następnie rozeszli się do domów. Nie, przepraszam, był akcent radykalny. Podpalono opony i hałasowano przy pomocy wuwuzel. Również to wyglądało jednak jak część wyreżyserowanego przedstawienia. Oczywiście po południu, gdy kończyły się godziny pracy, wielka demonstracja stopniała, a później została rozwiązana. Jeśli

ktoś spoza głównych central związkowych, pracujący w dzień powszedni do 15:00-16:00, miał chęć solidaryzować się z protestem, miał na to niewielką szansę. Pozostaje więc pytanie, ile osób dałoby się zorganizować głównym centralom bez fundowania wolnego w godzinach pracy w ramach dni związkowych? Prawdopodobnie niewiele, ponieważ budzenie świadomości własnych interesów wśród ludzi pracy nie należy do głównych zadań ani „Solidarności”, ani OPZZ-u. Dlaczego, pomimo że ogromna większość społeczeństwa sprzeciwia się reformom, tak mało przedstawicieli tej większości demonstruje swoje niezadowolenie?

Teraz po klęsce wniosku o referendum złożenie kolejnego zapowiada przewodniczący SLD, Leszek Miller. Los wniosku, nawet jeśli uda się tak zwanej „lewicy” zebrać odpowiednią liczbę podpisów, jest jednak z góry przesądzony. Chodzi raczej o promocję neoliberalnego polityka, który gdy był premierem sam ograniczał prawa pracownicze. Dziś jednak niektórzy związkowcy śpiewają mu „Mury” i skandują „Leszek Miller na premiera!”, wykazując się bardzo słabą pamięcią. Szukająca na siłę sojuszników wśród establishmentu biurokracja związkowa nie wyprowadzi ich niestety z błędu.

Obecna władza mogła się poczuć silna. Zwyciężyła już batalię w sprawie referendum, a główne centrale związkowe powinny wyciągnąć z tego wnioski. Jedynym, co jest w stanie poruszyć rząd, są masowe protesty, najlepiej połączone z działaniami w zakładach pracy. W polskim prawie niestety strajk generalny jest bardzo trudny do przeprowadzenia, a strajk polityczny – nielegalny. Związki zawodowe, cofające się od lat, muszą jednak zrozumieć, że podążając legalistyczną drogą, w pewnym momencie staną nad przepaścią i nie będzie się już gdzie cofnąć, ale wówczas organizacje pracownicze będą zbyt słabe, aby zatrzymać przeciwnika. W roku 2010 do związków należało jedynie około 15% pracowników, czyli 7% dorosłych Polaków. Aż 44% badanych przez CBOS w roku 2010 podsumowało działalność głównie największych central stwierdzeniem „starają się, lecz

niewiele im się udaje", a 33% w ogóle nie widziało żadnej ich aktywności(1).

Mam nadzieję, iż obecne zapewnienia przywódców NSZZ „S” i OPZZ o kontynuowaniu walki oznaczają, iż grupy związkowych prawników siądą do stołu i zastanowią się nad lukami prawnymi, pozwalającymi na przeprowadzenie w obecnej sytuacji akcji strajkowych, albo komisje zakładowe przygotowują się do dzikiego strajku. Gdyby od pracy powstrzymały się kluczowe sektory gospodarki lub odpowiednia liczba zatrudnionych w innych branżach, to legalność lub nielegalność takiego protestu przestałaby mieć znaczenie.

Mam nadzieję, że NSZZ „S” dojdzie do właśnie takich wniosków na spotkaniu zapowiadany na 12 kwietnia. Jeśli nie zdecyduje się na strajk generalny, to może chociaż blokada budynków rządowych i dróg? Gdyby w tego typu akcjach wzięło udział przynajmniej 100 tys. osób spośród tych, które podpisały wniosek o referendum, władza musiałaby się zastanowić nad dalszymi działaniami. Albo pokazałaby swoje autorytarne oblicze, wysyłając na ulice samochody pancerne, albo rozpoczęłaby negocjacje. Obecna postpolityka, czyli obowiązek dbania o wizerunek, oznacza między innymi to, że Tusk i jego ludzie nie mogą zbyt otwarcie demonstrować siły oraz pogardy dla społeczeństwa, więc pokaz siły uważam za mniej prawdopodobny.

Obawiam się tylko, iż po 12 kwietnia większą szansę mamy na kolejne związkowe miasteczko namiotowe, które będzie stało ku uciesze politycznych elit przed Sejmem, nie stanowiąc żadnego zagrożenia, albo jeszcze śmieszniejsze oflagowanie zakładów. Wtedy będziemy mogli spodziewać się, że prawdopodobne jest, iż za kilka lat władze jeszcze bardziej podwyższą wiek emerytalny, może do 68, może 70 lat, oczywiście w trosce o wysokość emerytur. Związkowy folklor się temu nie przeciwstawi, zresztą już niedługo będzie zbyt słaby nawet na te symboliczne formy protestu, które uprawia dzisiaj.

Autor: Piotr Ciszewski

Źródło: [Lewica](#)

PRZYPIS

[1] Dane za raportem CBOS „Związki zawodowe i naruszenia praw pracowniczych”.

http://www.cbos.pl/SPISKOM.POL/2010/K_109_10.PDF